

Slavenka Drakulić  
**DORA I MINOTAUR**  
Moje życie z Picasso  
Opowieść

Tłumaczenie z języka chorwackiego: Siniša Kasumović

Sztuka jest kłamstwem, które nam pomaga zrozumieć prawdę.

Pablo Picasso

WSTĘP

ZNANA FRANCUSKA NADREALISTYCZNA fotografka i malarka Dora Maar lub Henriette Theodora Markovitch, jak brzmi jej prawdziwe imię, zmarła w 1997 roku w Paryżu w wieku dziewięćdziesięciu lat. W jej mieszkaniu przy Rue de Savoie pomiędzy licznymi papierami, dokumentami i zeszytami wypisanymi po francusku, został znaleziony i czarny zeszyt z zapiskami w języku chorwackim. Był to język jej ojca Josepha Markovitcha (Josip Marković, Sisak, 1874 – Paryż, 1973). Mówiła nim biegle, ale rzadko z niego korzystała, z wyjątkiem rozmów z ojcem, w odróżnieniu od języka francuskiego jej matki Louise Julie Voisin (Cognac, 1877 – Paryż, 1942), którym mówiła codziennie. Bardzo prawdopodobne, że te zapiski w języku chorwackim były szczególnie cenne, bo język ten łączyła z uczuciami, które w jej przypadku ucieleśniał ojciec, a nie matka.

Oprócz jako fotografka, Dora Maar znana jest i jako muza Pabla Picassa (Málaga, 1881 – Mougins, 1973). W centrum uwagi jej zapisek są, czego się można spodziewać, spotkanie z Picasso, stosunek dwóch kreatywnych osób z których jedna jest wyjątkowo dominująca, rozstanie i traumatyczne skutki dla Dory, jak i czas po ich intensywnym związku. Pomimo że notatki w czarnym zeszycie nie mają tytułu, wydaje się odpowiednim tą książkę nazwać według jednego z najbardziej znanych rysunków Picassa – Dora i Minotaur z 1936 roku. Rysunek ten może najmocniej symbolizuje naturę ich związku.

Według niektórych oznak, największa część niedatowanych zapisek – częściowo inspirowanych wspomnieniami z rozmów z psychoanalitykiem dr Jacquesem Lacanem, które w jej dzienniku oznaczone są literką A (analiza) – pochodzą z roku 1958 i 1959. Pisane są ręką, fioletowym atramentem, równomiernym charakterem pisma. W tych latach, mianowicie, Dora Maar wycofała się z życia publicznego i żyła w samotności przez następne cztery dziesięciolecia, aż do swojej śmierci. Rękopis wydaje się być materiałem do przyszłej autobiografii, z której później artystka zrezygnowała, albo nie została ona znaleziona.

Zeszyt o którym jest mowa – jest możliwe że chodzi o słynny „zeszyt z Menerbesu”, którego w swoich książkach o Dorze wymieniają James Taylor, Alicia Dujovne Ortiz i jeszcze inni autorzy – w roku 1999 został sprzedany na aukcji pod tytułem *Ostatnie pamiątki po Dorze Maar*. Po śmierci anonimowego właściciela dotarł do ojczyzny ojca Dory. Zeszyt jest teraz w Rijece, w posiadaniu znawcy nie tylko prac Dory, a także i jej samej. Nowy właściciel skontaktował się z redaktorką tej książki, pod warunkiem, że jego imię, a także i imię poprzedniego właściciela pozostanie nieznane dla opinii publicznej.

Bez względu na fakt, że mowa jest o fragmentarycznym i prawdopodobnie nieskończonym tekście, przedstawia on drogocenny wgląd w twórcze osobowości Dory Maar i Picasso, i na pewno zasługuje, aby być opublikowanym. Prezentujemy go państwu po korekcie i z redaktorskimi notatkami.

S. D.

OSTATNIO, POSZUKUJĄC pomiędzy papierami egzemplarz jakiegoś czasopisma, odnalazłam stary zeszyt. Myślałam, że jest pusty, ale na pierwszej stronie znalazłam notatkę z czerwca 1945 roku:

*Wczoraj wyszłam od Jacquesa w takim dobrym nastroju! Czuje, że teraz jest mi lepiej.*

*Po elektrowstrząsach i leżeniu w szpitalu jeszcze dniami bolały mnie nogi, chodziłam sztywna, jak na szrudłach. Bolało mnie doprawdy całe ciało. Ciągnęłam się po korytarzu z którego otwierał się widok na podwórko, ale nie wiedziałam, czy jeszcze jestem w szpitalu, czy w moim mieszkaniu. Zielony kolor krzaków mieszał się z białym i szarym kolorem dookolnych ścian i wyglądało to tak jak gdybym miała zarzucony welon na oczy. Czułam się jakbym pływała w mętnej wodzie. Mózg wolno wracał do zdrowia. Jacques wyciągnął mnie z Sainte Anne, gdzie mnie prawie zabili. Wiążą cię za łóżko, włożą ci zawiniątko z płótna do ust i potem ci przez ciało przepuszczają prąd. Tak naprawdę nie wiem ile razy miałam ten „zabieg”, jak mówią na to w szpitalu. Nawet nie zapytałam.*

*– To moda – powiedział Jacques podczas naszego pierwszego spotkania po wyjściu ze szpitala – Zwykła, głupia moda. Z medycyną jest tak samo jako z kapeluszami czy butami.*

*– Ale ta moda jest powodem, że moje ciało jest jeszcze ciągle połamane!*

*– Zapomnij o elektrowstrząsach, wydobrzejesz, przecież jeszcze nawet nie masz czterdziestki. Będziesz przychodzić tutaj do mnie i będziemy rozmawiać. Nic więcej. Nie potrzebujesz żadnej terapii ani lekarstw, już się nie musisz bać.*

*– Nie chcę rozmawiać o szpitalu, ledwo przeżyłam...*

*– I nie musisz, ty decydujesz o czym będziemy rozmawiać.*

*– No chyba o tym dlaczego w ogóle skończyłam w szpitalu i teraz u ciebie na psychoterapii. Podobno miałam załamanie nerwowe. Picasso się zmartwił moim zdrowiem psychicznym, więc poprosił cię o pomoc. Doprawdy, nie wierzę, że się naprawdę zmartwił, to może myśleć tylko ktoś, kto go nie zna. Myślę, że mnie po prostu wpakował do wariatkowa, aby mnie się pozbyć...*

*– To w takim razie opowiadaj o tym co może myśleć ktoś, kto go zna.*

*Odmachnęłam w nieokreślony sposób ręką. W jego gabinecie popołudniowe słońce świeciło po półce z książkami, po masywnym biurku z drzewa orzechowego i szczupłej postaci odstających uszu w granatowym swetrze. Pachniało książkami i cygarami.*

*W drodze do domu, w sklepie papierniczym kupiłam zeszyt w linie w sztywnej okładce. W szkole nienawidziłam takie zeszyty, bo byłam bardzo schludna i litery mi nie uciekały ani poniżej, ani powyżej linii. Ale teraz miałam poczucie, że akurat taki potrzebuje, że tak*

*zmieszanej głowy ciężko mi będzie prawidłowo pisać litery. Kupiłam i buteleczkę fioletowego atramentu. Mogę spróbować przelać niektóre rzeczy na papier, pomyślałam, chowając zeszyt do torby. Zresztą, nikomu nie muszę go pokazać, nawet Jacquesowi.*

Zdecydowałam się nawet, żeby te zapiski pisać po chorwacku i w ten sposób jeszcze lepiej ich zabezpieczyć od czyjeś ciekawości, choć tutaj nie znam nikogo, z wyjątkiem ojca, kto by znał ten język. Wierzę że pisanie pomoże mi dojść do siebie. Muszę sama coś spróbować zrobić, nie mogę się całkowicie poddać Jacquesowi. Dlatego że go znam nie od dziś i nie poprzez Picasso, lecz przez jego żonę Sylwię, z którą stałam się przyjaciółką jeszcze gdy była małżonką Georges'a Bataille'a, czuję, że mnie znajomość z nimi wszystkimi w jakiś sposób hamuje w tym naszym nowym stosunku pacjentki i lekarza. Dlatego wierzę, że jeżeli mi się przypomną niektóre wydarzenia z mojej przeszłości, jeżeli je zanotuję, może i sama lepiej zrozumie dlaczego przeżyłam kryzys psychiczny i wyłądownałam w szpitalu. Teraz muszę się na tym skupić, tak jakbym przygotowywała się ponownie stać za aparatem i popatrzeć – w głąb siebie. Wydaje mi się, że teraz mogę to zrobić, razem z Jacquesem i tymi zeszytami. To jest ten sam proceder jak i w mojej profesji: gdy fotografuję lub maluję, to ja wybieram kogo i jak uwiecznię, ja panuję nad rzeczywistością i formuję je. Ja decyduję i teraz zrobię to samo.

– Ty decydujesz – czyż mi tak nie powiedział?

Poczułam się lepiej po tych jego słowach, dlatego że mnie wspiera i zachęca, abym mówiła, zamiast trzymać mnie naszpikowaną narkotykami i przywiązaną do łóżka. Jeszcze mam przed oczami ten straszny aparat z przewodami, jeszcze czuję dotyk zimnych elektrod na skroniach i woskowy smak zawiniątka w ustach.

Ale kiedy to w ostatnim czasie decydowałam o czymkolwiek, z wyjątkiem gdy robiłam zdjęcia, czego nie robię już od lat? Czy to było dawno, gdy się zdecydowałam na studium fotografii, a wszystko co mi się przydarzyło później było konsekwencją cudzych decyzji? Ledwo mogę sobie przypomnieć pragnienia, aby fotografować i tego niegdysiejszego poczucia kontroli, wolności i zaufania do siebie i do moich decyzji. Kiedy to wszystko zniknęło i dlaczego? Jak mogłam sobie pozwolić, żeby skończyć w szpitalu? Oto o czym chciałabym pisać.

\* \* \*

Tylko tyle było zapisano w znalezionym zeszycie. Jakoś mnie dotknęły te zapomniane słowa zapisane przed więcej niż dziesięciolecie, a szczególnie zdanie: Ja to mogę. Brzmiało

jakbym sama siebie przekonywała do tego. Ale widocznie zamiar ten mi się nie powiódł. Przeszkodziły mi puste strony, które nastąpiły. Dlaczego nie kontynuowałam pisania? Czego się przestraszyłam? Co mi przeszkodziło?

Przed oczami znowu widziałam twarz mojego znajomego, psychiatry, wystawę sklepu papierniczego i moje odbicie w nim. Szczególnie został mi w pamięci ten krótki, lecz wyraźny, wzrost nadziei po mojej pierwszej wizycie. Gdy wyszłam z domu Jacquesa uniosłam głowę do jasnobłękitnego nieba bez chmur. Przypomniał mi się tytuł książki Georges'a Bataille'a *Błękit nieba*, nie tyle z powodu jej treści i tego co w niej jest, bo podobno pisał o mnie, lecz z powodu samego jej tytułu. Czy miał na myśli dokładnie taki błękit? Wiatr wkręcił palce w moje rozpuszczone włosy. Wzięłam głęboki oddech i poddałam mu się, jakbym była żaglem. Wędrowałam przez pewien czas, delektując się poczuciem lekkości i dobrego humoru. Po tym jak tygodnie spędziłam w stanie mniej-więcej nieprzytomności, dryfując pomiędzy światłem i ciemnością, jakby mnie ktoś rzucił do głębokiej studni w której jest mi sądzone czekać na koniec, tego dnia po raz pierwszy uwierzyłam, że nie jestem stracona, że nie jestem całkowicie opuszczona.

Przeczytałam jeszcze raz to pierwsze zdanie - *Wczoraj wyszłam od Jacquesa w takim dobrym nastroju!* Dobry humor i optymizm po tylko kilka stronach tekstu zastąpiła długa cisza i puste kartki. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, a nikt mi nie powiedział, to co później przeczytałam o skutkach elektroshoków: że po nieprzyjemnej i bolesnej terapii następuje euforia. Moje uczucia w tych dniach były wynikiem chemicznej reakcją w mózgu! Ten mój pierwotny zachwyty Jacquesem, jak i późniejszy mroczny nastrój oraz niekończące się zmęczenie, które mnie powstrzymało przed wzięciem pióra do ręki. Może i moja niemoc, aby się skupić, była skutkiem terapii? Jak i sporadyczne utraty pamięci? Jacques mi mówił, że pamięć pacjenta może czasami szwankować, ale zazwyczaj powraca. Obawiam się, że w tamtych czasach zbyt mało było wiadomo o następstwach elektroshoków i że byłam tylko królikiem doświadczalnym tej nowości...

Ile mi psychoterapia pomogła? Czy trwała za krótko, żebym się poczuła lepiej?

Teraz moje ręce – te same ręce, które Picasso tyle razy namalował, jeszcze ciągle gładkiej skóry, jeszcze ciągle z długimi, polakierowanymi paznokciami – trzymają ten zeszyt. Zeszyt jest dużego formatu, brzegi są ciut strzępione, jakbym go nosiła ze sobą wszędzie i przewracałam w rekach zastanawiając się. Najbardziej mnie dziwi jego grubość. Czy naprawdę chciałam go wypełnić? Tych kilka dawno temu napisanych słów są patetycznym świadectwem mojej niemocy. Ale to co wtedy nie miałam siły zapisać, lub nie chciałam, zapiszę teraz. Jacques, który w międzyczasie stał się znanym dr Lacanem, ale już nie był moim lekarzem,

lecz tylko starym znajomym. W jednym jednak się mylił. Myślę że dopiero teraz jestem zdolna decydować, długo po tym jak skończyłam, a może lepiej powiedziane, jak przerwałam terapię u niego.

Tak, potrzebowałam dużo więcej czasu niż myślałam, po tej naszej pierwszej rozmowy.

I dopiero teraz, po tylu latach, wracają wspomnienia o niektórych naszych tematach i jego pytania. Dopiero teraz powoli otwierają się drzwi, zza którymi być może uda mi się spojrzeć na moje życie z drugiej perspektywy, z emocjonalnego i czasowego dystansu. Wspomnienia, które wzbierają, postaram się zapisać do tego samego zeszytu. I wiem, że gdzieś mam i ten fioletowy tusz!

\* \* \*

– Powiedz mi co widzisz jak zamkniesz oczy? – zapytał mnie Jacques tego pierwszego dnia.

– Zasłonkę. Widzę białą zasłonkę jak kołysze się na lekkim wietrze – odpowiedziałam i zamilkłam. Poczułam jak mi się gardło ściska, a łzy zbierają.

Zasłonka jest na szklanych drzwiach mojego pokoju w Buenos Aires, w tych które dzielią mój pokój dziecięcy od pokoju rodziców. Ten obraz powraca do mnie w tych dniach – drzwi szklane, pokój, dzieciństwo. Jak tylko zamknę oczy, znowu jestem tam. Mam cztery, może pięć lat i leżę w swoim łóżku. Widzę prawie przezroczystą, białą zasłonkę na drzwiach, jedyną przeszkodę pomiędzy mną a moimi rodzicami. Jest poranek, poprzez zasłonkę prześwitują zarysy łóża małżeńskiego i słyszę przytłumiony i groźący głos ojca. Znany jest mi ten jego specjalny głos, którym mówi tylko do *maman* i to odkąd się tutaj przeprowadziliśmy. Potem mi *maman* mówi: Tata znowu miał atak. Ona to nazywa atakiem, *l'attaque*. Jakby Marko, jak go Julie nazywa, był wariatem, a nie tylko cholerycznym mężczyzną, któremu nadąsana twarz żony od samego rana psuje dzień. Przewiduję, czuję to w jego głosie, że ojciec najchętniej by nakrzyczał na tą beksę, która leży w łóżku obok niego, ale nie wolno mu ze względu na mnie. Dlatego wysokie tony dostają świszczący dźwięk, jakby się przekształcił w wielkiego, głośnego węża, który ją dusi i uściska, zostawiając jej w płucach wystarczająco powietrza, aby mogła cicho płakać.

Oczywiście, ja nie powinnam była usłyszeć nic z ich kłótni. Ale spałam w pokoju obok. Pokoje były rozdzielone tylko rozsuwanymi, szklanymi drzwiami, zasłoniętymi cienką tkaniną, która ledwo przekrywała obraz, ale dźwięk w ogóle. Ojciec mówił do Julie po

francusku, jej językiem, którym mówiliśmy w domu. Ale rozumiałam i jego język, chorwacki, który w moich dziecięcych uszach brzmiał miło, ciepło, szczególnie. Czerpałam przyjemność z jego delikatnego dźwięku.

– *Mila moja, Dorice* – pamiętam jak mi ojciec gruchał gdy schylał się, aby mnie pocałować w policzek. Tyle tylko, że jego pocałunek zawsze był jakoś wilgotny i dlatego niechęć wzbraniałam przed dotykiem jego ust.

Nie powinnam była usłyszeć i inne dźwięki z ich pokoju. W środku nocy budziły mnie westchnienia, ciche, a potem coraz głośniejsze. Głos mamy unosił się aż do jęku. Pamiętam, że tak małej, wydawało mi się, że w każdej chwili *maman* zapłacze i byłam blisko, aby wstać i otworzyć szklane drzwi. Wstałam i w ciemności szukałam kapcie, które wślizgnęły się gdzieś pod łóżko. Jeszcze słyszę drewnianą podłogę jak skrzypi, gdy pełzłam macając ręką przed sobą. Dlaczego w ogóle szukałam kapci? Parkiet był przyjemny w dotyku i nie było mi zimno. Akurat jak wstałam i zdecydowałam się pójść boso do drzwi, z drugiej strony zapanowała cisza, a ja cicho wróciłam z powrotem do łóżka. Rodzice prawdopodobnie usłyszeli moje kroki i uspokoili się. Ale raz jednak otworzyłam drzwi. Zobaczyłam ojca nad matką. Jego sylwetka, która odcinała się na świetle, które docierało od okna, wyglądała groźnie, taka czarna i zwinięta. Czy on ja udusi? Mama wydawała słabiuteńki dźwięk, coś pomiędzy jękiem a westchnieniem. Tatusiu, wyszeptałam, czy mama się dobrze czuje? Ojciec się wyprostował w łóżku:

– Dorice, wszystko w porządku, wróć do swojego łóżka. *Maman* się coś złego śniło, ale teraz jest w porządku.

Zaufałam mu, co innego mi zostało? *Maman* czasami wypuszczała straszne dźwięki – westchnienia, stękania, przytłumione krzyki. Ale słowa ojca mnie uspokajały. Prawdopodobnie był zdziwiony, że nie śpię. Moi rodzice nie myśleli o tym, że ja nadzoruje ich, że im się chciał – nie chciał przysłuchuję, że wiem o nich dużo więcej niż oni by to chcieli – bo byłam dopiero dzieckiem. Nie myśleli, że dziecko rośnie i zaczyna rozumieć ich szyfrowany język w którym – dopiero teraz to rozumiem – wymieniali namiętności, niechęć i obojętność.

Zastanawiam się dlaczego przydzielili mi ten przezroczyisty pokój. Jako ich jedyne dziecko, czy naprawdę byłam taką delikatną roślinką, którą należało umieścić w szklarni i doglądać dzień i noc? Ale rodzice w szklanych drzwiach widocznie widzieli same zalety.

Co prawda, nocą mogli usłyszeć moje spokojnie oddychanie i sami spokojnie utonąć w sen. Z rana zazwyczaj ojciec najpierw odsuwał zasłonkę i zaglądał do środka, aby zobaczyć czy już się obudziłam. Jeżeli otworzyłabym oczy, na jego twarzy błyszczałyby uśmiech, a wtedy wchodził i obcałowywał moją spoconą głowę z ciemnymi lokami. Jeżeli bym udawała, że śpię,

zwłaszcza wtedy gdy miał *l'attaque*, tylko by mnie pogłaskał. Nie wychodził z domu zanim nie odwiedził pokój córki *tatusia*, jak mówił do mnie.

Musieli tak zdecydować z powodu niepokoju o mnie i była to jedna z rzadkich decyzji jakie podjęli razem.

*Maman* miała trzydzieści lat, gdy mnie urodziła. Już straciła nadzieję, że w ogóle będzie miała dziecko i każdemu, kto chciał ją słuchać, mówiła jak jej w szpitalu położna robiła wyrzuty sumienia, że do tego wieku czekała z dzieckiem. Ani ojciec, który wtedy miał trzydzieści trzy lata nie był uważany za młodego. Ich małżeństwo bez dziecka nie miało szans, a ze mną przynajmniej dostało jakieś ramy, zobowiązania, które ich scalały, jak wkrótce zrozumiałam. Wraz z moimi narodzinami, cała czułość do matki, została skierowana do mnie, a Julie dostała status mojej opiekunki, podczas gdy on przebywa w pracy. Julie, jak tam maleństwo? - były jego pierwsze słowa gdy pod wieczór stawał w drzwiach mieszkania.

Długo po jego ataku, *Maman* leżała w łóżku zadowolona, że jej nie przeszkadzam. Gniewała się na ojca nie tylko dlatego, że już z samego rana zwracał się do niej tym jego groźnym głosem:

– Żebyś chociaż krzyknął jak prawdziwy mężczyzna – robiła mu na złość, ale i dlatego że z powodu jego pracy była zmuszona przeprowadzić się z Paryża do Buenos Aires, do tego straszego miasta, między dzikusów, jak mawiała. Wszystko w tym mieście było dla niej odpychające – ulice, kurz, mężczyźni, którzy gapią się na kobiety jak wygłodniały rynek, na którym wieśniacy rozkładają towary na podłodze, panie w sukienkach z zeszłego wieku... Jedyny powód dla którego Julie zgodziła się opuścić Paryż, była praca ojca i obietnica, że się wzbogaci.

– Do Argentyny ludzie wyjeżdżają, aby się wzbogacić – mawiał. Tak, ojciec był szarmancki i przekonywujący kiedy chciał takim być, musiała mu to przyznać. Ale jak mijał czas, a od obiecanego bogactwa nie było ani śladu, jej niezadowolenie narastało, jak i jej codzienne narzekania. To wszystko musiałam słuchać przez szklaną ścianę, jak i westchnienia i płacz. I coraz rzadsze skrzypienie łoża małżeńskiego nocą.

– Boże, jak tu wszystko jest takie oporne, wszystko jest takie prymitywne – mówiła *maman* do pani Dupont, z którą kolegowala się tylko dlatego, że ona też była Francuzką. Wyobrażała, że być Francuską w Buenos Aires tamtych lat było bardzo noble, ale bardzo szybko zrozumiała, że nie za bardzo tak jest. Nasza służąca Juana, na którą *maman* mówiła Jeanne, wyjaśniła jej, że tutaj żyje dużo biednych Francuzek, które się prostytuują i z ich powodu na prostytutki mówi się *francesa*.



\* \* \*

Szkło jest ochroną, ale nie tylko. Pamiętam uczucie, że jestem wystawiona na wzroki. Czułam się jakbym była na wystawie sklepu lub w akwariium. Gdy ojciec poszedł, jeszcze długo czułam na sobie jego wzrok. Wiedziałam, że jeżeli nie wstanę, w pewnej chwili *maman* zerknie, aby się przekonać, że żyję, że oddycham. Ona zawsze, aż do śmierci, martwiła się o mnie. Zachowywała się jakbym nie była w stanie zadbać o siebie, i wtedy a i później, gdy już byłam dorosła, w Paryżu. Biedna Julie, może jednak miała rację! Jej opieka mnie denerwowała, bo mnie ograniczała, jej wzrok wyglądał mi na inny niż taty. Zmęczony, bez tej skry ciepła i oczekiwania, abym się obudziła, bez uśmiechu i pocałunków na odejściu. Nauczyłam się, że *maman* ma ważniejsze rzeczy niż rano poświęcać się mnie. Wiedziałam, że następną godzinę zamknę się w toalecie, żeby zimnymi okładami złagodzić ślady płaczu i że przez ten czas będę pozostawiona sama sobie, pozbawiona jej kontroli.

Dlaczego akurat teraz wraca do mnie wspomnienie tego pokoju z dzieciństwa? Wiem, widzę go czasami gdy ponownie czuje się jak dziecko. Gdy chcę uciec i wrócić do przyszłości. Gdy jestem bezbronna. Pomiędzy mną a teraźniejszością nie ma nikogo, niczego. A mój aparat porzuciłam na zawsze. Moje ręce są teraz puste.

Choć nie lubiłam mojego pokoju, był on dla mnie jedynym schronieniem. Ale jak dorastałam, czułam się coraz bardziej odsłonięta. Dobrze pamiętam to poczucie jednoczesnej ochrony i odsłonięcia, tej szklanej klatki z której nie mogłam wyjść ani się ukryć od wzroków. Z tego powodu już jako dziecko czułam się niewygodnie, co wiele lat później zidentyfikowałam jak konsekwencję pewnego rodzaju rodzicielskiego znęcania się nad dzieckiem: jako niewygodę bycia wystawionym na niechcące wzroki, z powodu których zaczęłam się chować zza obiektywem mojego ulubionego aparatu, który mi długo służył jako tarcza przed ludźmi. Uciekałam, chowałam się za nim, lecz jednocześnie służył mi jako środek komunikacji. Ale zgodnie z zasadami, które ja sama ustanowiłam. Aparat fotograficzny był moją prywatną magią, którą poskramiałam wszystko co się znalazło przed nią.

Musiałam znaleźć sposób jak się uchronić przed tym uczuciem bycia wystawioną. Broniłam się zabawą: pamiętam, mam siedem albo osiem lat i lubię się bawić światłem. Szklane drzwi pokoju są otwarte i promienie światła docierają do mojego łóżeczka. Pamiętam, że lubię być samą, bez opieki. Otwieram i zamykam oczy i przezroczysto czerwony kolor spod powiek zamienia się na przemian z oślepiającym błyskiem słonecznego promienia. Unoszę

rękę do okna. Mocne światło przedziera się przez moją skórę i widzę ciemniejsze części - Czy to są kości? zastanawiam się – oraz cienką sieć żyłek. Moja ręką wygląda jak coś całkiem innego, jak przezroczyste zwierzątko, może meduza, którą raz widziałam w akwarium. W każdym bądź razie, jako całkowicie obcą rzecz, oddzielona ode mnie. Zatem chowam tą rzecz do ciemności pod kołdrę i z powrotem jest to moja zwyczajna ręka, na którą po „magii” spoglądam z niedowierzaniem. Metamorfoza części własnego ciała mnie fascynuję.

W zależności od światła i cieni, wszystko można przekształcić w coś innego.

– Ja jestem magikiem – opowiadam później *maman* – Przekształcam znane w nieznanne, oto patrz! Wtedy jeszcze nie znam słowa artystka lub artysta. *Maman* mi mówi, aby nie gadać głupot, ona niczego nie widzi, nawet gdy jej pokazuję jak łatwo przekształcam rękę w meduzę, za pomocą mocnego światła słonecznego. I jeszcze mi mówi, że ręka pod żadnym pozorem nie jest rzeczą, tak jak ja bym o tym nie wiedziała. Widzę, że nie rozumie magię, którą wykonuję światło, ani mój zapał do gry przekształcania. Ale to mnie nie smuci, bo mam coś co jest moje, tylko moje – moją tajemnicę.

Podobało mi się, opowiadałam Jacquesowi, gdy *maman* w Buenos Aires wychodziła ze mną na spacer do parku. I czasami na plac zabaw, gdy się spotykałam z innymi dziewczynkami. Dziewczynki mówiły po hiszpańsku, językiem służących, marynarzy, robotników portowych i poganiaczy bydła. Zapamiętałam, że mówiła jak to jest korzystny, lecz brudny język, tak samo jak brudni są ludzie dookoła nas. *Maman* i ja dołączyliśmy do ojca w Buenos Aires gdy miałam trzy latka. Ja, już wtedy, jako dziewczynka, czułam się rozdwojona pomiędzy ojcem a matką, pomiędzy francuskim i chorwackim językiem oraz hiszpańskim, którego ojciec już dobrze mówił, a my nie znałyśmy ani słowa. Pomiedzy ubraniami mamy, które pachniały perfumami i szerokimi sukniami Juany, w których schowały się setki nieznanych zapachów. Tak jakbym i sama składała się z starych i nowych, z czystych i brudnych części. Zawsze się tak czułam.

– I teraz się też tak czujesz? – pytał mnie Jacques.

– Tak. We mnie mieszają się Theodora, Dora, Dorica, Dorita, Adora, Dorissima – Wydało mi się, że go moja odpowiedź szczególnie zaintrygowała, zapisał coś do swojego notesu, ale już mnie dalej nie wypytywał.

\* \* \*

W Buenos Aires nas dwie czasami odwiedzałyśmy ojca w jego architektonicznym studiu przy Calle Reconquista. On dawał mi ołówek i papier, a ja długo rysowałam przy jego

biurku lub pisałam wyrazy, bo już chodziłam do szkoły i musiałam ćwiczyć. Mój ojciec dużo rysował, przeważnie budynki, a potem inni je budowali. Tak mi tłumaczył swoją pracę jako architekty, a gdy spacerowaliśmy, pokazywał mi budynki, które zbudował, jak na przykład ten na Plaza de Mayo lub przy Calle Sarimento, z balkonami, gdzie jednego z nich podtrzymywała budząca grozę kamienna głowa. Odwracałam głowę od niej, lecz jednak często do niej wracałam.

Kiedykolwiek miał czas, ojciec uczył mnie rysować. On rysował nie tylko domy, lecz i statki, portrety i ulice, dla mnie, dla zabawy rysował i zwierzęta. Potem mówiłby, abym ja narysowała to samo. Mówił mi, że jestem utalentowana, że mam dobre oko, ale że muszę ćwiczyć.

– Trzeba wytrwale ćwiczyć, Dorice. – Podczas gdy rysowałam, słuchałam rodziców jak dyskutują... W ten sposób dowiedziałam się, że *maman* ma zamiar otworzyć sklep z kapeluszami. Nudziła się. Może mogłaby zarabiać jako modystka. Nazwa będzie Boutique Française – jak inaczej?

– Zresztą, gdzie jest to bogactwo, dla którego przyplłynęliśmy tutaj? – powiedziała to jako argument do swojego planu. Przy tym *tutaj* wymówiła, jakby w ustach miała coś, co za wszelką cenę chce wypluć. Nie patrzyła w ojca. Patrzyła przez okno, w dal, w morze. Ojciec, przeczuwałam to, nie był zachwycony tym najnowszym pomysłem w który, poza wszystkimi innymi, miał włożyć pieniądze. *Maman* odfuknęła z pogardą i odmachnęła ręką, gdy wspomniał o pieniądzach, jakby rzecz była o czymś, czym ona sobie nie chce zawracać głowę. Tym niech się zajmą mężczyźni. A jeżeli zaś nie są w stanie, to wtedy... Jej zdanie zostało wisieć w powietrzu. Pamiętam, że było mi go żal.

W końcu ojciec jednak ustąpił i pożyczył pieniądze od swojego pracodawcy, pana Mihanovicia, bogatego armatora pochodzenia chorwackiego jak i on sam, któremu zbudował pałac. I ten fakt, jak i wszystko inne o czym rozmawiają dorośli, złowiłam uchem w mojej szklanej klatce i później udawałam, że niczego nie usłyszałam. Znam pana Mihanovicia i jego grubą małżonkę, bo mieszkamy naprzeciwko ich willy i często bawię się z ich dziećmi.

– Mają ich dwanaścioro sztuk, jedno drugiemu do ucha – mówi mi *maman*. Gdy wymawia *sztuk*, przewraca oczami jakby to było coś całkowicie niewyobrażalnego dla ludzi ich statusu i bogactwa. Zza szkłem, później, a w związku z Mihanoviciem, jeszcze słyszę słowo *rozmnażać się*, ale ojciec się gniewa.

– Uważaj co mówisz i zajmij się swoimi sprawami – mówi do niej surowo.

Lubię nosić kapelusze. Niezwykle, oryginalne. I ten, który teraz najczęściej noszę, mały, czarny, z wielką kokardką z organdy, zrobiła *maman*. Tę słabość do kapeluszy pewnie odziedziczyłam po niej. Pamiętam jeden, którego długo trzymała na wystawie sklepu. Stawałam przed wystawą *Boutique Française* i obserwowałam go. Miałam może ze dziesięć lat, ale jeszcze ciągle mogę sobie przypomnieć każdy szczegół tego kapelusza z wystawy. Był cudowny, jasnoniebieski, ozdobiony miniaturowymi ptaszkami z jedwabiu różnych kolorów, który były jak żywe, gdy wychylały się zza zielonych listków. Pamiętam, że kobiety przechodzące zatrzymywały się i patrzyły na niego z zachwytem.

Gdy *maman* pozwoliła mi go założyć, stojąc przed lustrem, zdecydowałam, że kiedy dorosnę, będę nosić dokładnie takie kapelusze. I jeszcze bardziej zwariowane! Może to był jeden jedyny raz, gdy byłam z niej dumna. Bo ojciec jest ten, kogo podziwiam. W tamtych latach przeważnie gardzę Julią. Później jej współczuję i czuję w stosunku do niej przeważnie wyrzuty sumienia.

A więc, w końcu Julie otworzyła swój boutique, o którym nie wolno było powiedzieć, że jest to sklep lub geszeft, bo to brzmiało banalnie. Ojciec na nią mówił *kitničarka*, co jest starym chorwackim słowem na kapeluszniczkę. Tam sprzedawała guziki, kołnierze, trochę tkaniny na metry, różne taśmy z bawełny, jedwabiu, ripsu – pokrótce, zwykłą pasmanterię i oczywiście kapelusze, które sama wykonywała. Pamiętam zapach jej paryskich perfum wymieszanego z egzotycznym zapachem dobrej jakości jedwabiu na półce, który pochodził z dalekich Chin.

– Oryginał, z Chin – akcentowała z zadowoleniem, po trochę się chwając dobrymi znajomościami z armatorami i handlowcami, którzy umożliwiali jej dostawę ekskluzywnego towaru.

Odkąd jest właścicielką *boutique*, *maman* jest bardziej pogodna, czasami się nawet i uśmiecha. Umie dużo rzeczy zrobić rekami, jest zręczna. Ma złote ręce, chwalą ją klientki, damy wyrafinowanego gustu, lecz nie te, które kupują elastyczną gumę i ozdobne taśmy na metry lub rolki czarnej, dramatycznej koronki, która jest wtedy w modzie i którą przyszywają do taftowych sukienek, aby uwypuklić swój dekolt. Są też i takie, co wpadają tylko po to, aby mówić po francusku lub przewertować czasopisma o modzie, które *maman* trzyma na widocznym miejscu na ladzie, po to, aby dać do zrozumienia, że jest na bieżąco. A w Paryżu sukienki już nie są szerokie, jak to się nosi w Buenos Aires. Powoli stają się krótsze i węższe, kobiety skracają włosy, noszą się grzywki, jak chłopcy. Decyduję się, że i sama zetnę włosy

jak tylko będę wystarczająco dorosła, choć *maman* nie chce ani słyszeć o zmianie fryzury, bo ta moda jest *wulgarna*. A wulgarnie jest to wszystko czego się ona boi.

Do boutique przychodzą kobiety tylko po to, aby przymierzyć jej tak *oryginalne* kapelusze. To słowo jest, jak wkrótce zrozumiałam, synonimem czegoś dziwnego i nieznanego, słowo za coś niezwykłego, dezorientującego i po trochę śmiesznego, co można tylko oglądać i być może przymierzyć, ale nie kupić, nie, na litość boską!

– Może w Paryżu noszą takie dzieła sztuki madamme Markovitch, ale tutaj nosimy zwykle kapelusze ze słomy z szerokim rondem ze względu na słońce.

– Takie wieśniackie – dodają *maman* i wtedy się razem chichoczą. Ona sama nosi jeden swój kapelusik z różyczkami z filcu i precyzyjnie zrobionymi owocami z waty i powleczonymi kolorowym papierem oraz lakierowanymi świecącym lakierem. Jakby ją cieszyło prowokować lub przyciągać uwagę, bo odważa się przespacerować po mieście z tą swoją egzotyką na głowie, ba, ona jest z Paryża, a to jest tam modne. Cóż, muszę reklamować mój boutique, mówi kokieteryjnie kapeluszniczka Julie.

Ojcu nie przeszkadza jej szaleństwo. Kiedy jest w dobrym humorze mówi do niej *šašavica*<sup>1</sup> po chorwacku, a ona to śmiesznie powtarza jako sa-sa-vi-ka tylko po to, aby się oboje uśmiechnęli. Nosi kapelusz nawet gdy w niedzielę idziemy na mszę. A po mszy na herbatę i ciastka do secesyjnie urządzonej kafejki przy Avenida de Mayo, o paryskiej nazwie Tortoni, i do tamtej przy Boulevard des Italiens. Ja wtedy zadowolona chodzę między nimi. Spotykamy moje szkolne przyjaciółki z rodzicami, witamy się. Widzę, że wszystkim wzrok zatrzymuje się na kapeluszu i to mi się podoba, bo myślę, że *maman* jest jednak odważna, choć jej wola i odwaga się w tym wyczerpują.

\* \* \*

No i oto jesteśmy, jakbym nas teraz oglądała na niedzielnym spacerze. Patrzę na moich rodziców. Ojciec jest w eleganckim, ciemnym garniturze, jego włosy są czarne, błyszczące, zaczesane olejkami i z starannie uczesanymi wąsami, w towarzystwie poważnej pani ubranej w sukienkę według ostatniej mody paryskiej, z interesującym kapeluszem na głowie. Widzę i siebie, dziewczynkę przezroczyście zielonych oczu i szerokiej twarzy, obramowanej gęstymi, czarnymi włosami jak u ojca. Gdy siedzą w kafejce, nie rozmawiają za dużo, tak jakby jedno drugiemu nie miało nic do powiedzenia. Tutaj przychodzą raz na tydzień – taka jest tradycja –

---

1 Szalona, odlotowa, dziwaczna

aby pokazać, że należą do średniej klasy Buenos Airesa, do wykształconych i eleganckich mieszkańców, jak lekarze, prawnicy, właściciele statków i architekci, jak mój ojciec.

Ojciec wyciąga cygaro, zapala go, a potem się opiera i ciut nieobecny obserwuje ludzi dookoła siebie, a z niektórymi z nich się wita. Ja jestem całkowicie spokojna i poważna, choć nie mogę mieć więcej niż osiem albo dziewięć lat, a może nawet i nie tyle. Z zaciekawieniem patrzę dookoła siebie podczas gdy jem kawałek tortu czekoladowego. Julie piję herbatę, a ojciec kawę, czyli uwalniający się zapach miesza się z zapachem dymu tytoniowego. Jestem tutaj, przy stole gdzie siedzę z rodzicami, ale jednocześnie i gdzieś w kącie sali, skąd mam dobry widok na wszystkich gości. Rozkoszuje się możliwością, że mogę jednocześnie być obecna i nieobecna. Gdy tak siedzę, wędruję wzrokiem od twarzy do twarzy, jakbym była małym podglądaczem, który wychyla się ukryty za kotarą. Na twarzy kobiety przy sąsiednim stoliku widzę zmęczenie i zdenerwowanie. Na kolanach trzyma małego chłopca, który się bez przerwy wierci, zapytuje, stuka łyżeczką o delikatną porcelanę filiżanki do herbaty, a ona go, trochę desperacko, przekazuje do ojca, który nie wie co ma z nim zrobić bez niani. Dwie starsze panie z siwymi kokami złośliwie szepczą nad talerzami z ciastami. Grupa mężczyzn stoi obok fortepianu i głośno dyskutuje. Ale scena, która mnie najbardziej przyciąga, to młoda kobieta siedząca sama za stołem, która pali papierosa i czyta gazetę nie zwracając uwagi na zdziwione wzroki.

\* \* \*

Na fotografiach z tamtego czasu wyglądam odrobinę smutnie. Z powodu mojej powagi, dzieci mnie w szkole nazywają *la santa*, święta. Dlaczego już wtedy moja twarz jest bez uśmiechu? Czy dlatego, że mi *maman* bez przerwy powtarza:

– Nie uśmiechaj się do mężczyzn, tutaj jest to niebezpieczne? Tam, we Francji, możesz się zachowywać wolno, możesz się uśmiechać do kogo chcesz i nosić szalone kapelusze i chodzić po ulicy bez towarzystwa mężczyzny. Pamiętaj, być Francuzką i uśmiechać się, tutaj oznacza tylko jedno – *francesa*.

Te jej słowa zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Wiem, *maman* się bała o mnie, czuła odrazę do wzroków mężczyzn, imigrantów i samców, którzy są głodni kobiet i od tego próbowała mnie uchronić. Mężczyzn nie można prowokować. Należało chodzić po ulicy z poważnym wyrazem twarzy, bez uśmiechu, spuszczonego wzroku, szczególnie jeżeli jesteś

ładną, trzynastoletnią dziewczynką, której się spod letniej sukienki zaczynają dopiero co ukazywać piersi.

– Mężczyźni są niebezpieczni – mówi do mnie *maman*.

– Wszyscy mężczyźni? - pytam – Tak – ona potakuje głową – tak, tak, wszyscy.

Jednak, nie odważam się zapytać, czy to dotyczy także i ojca.

– Jak mama myśli, niebezpieczni? – pytam ją.

– Są niebezpieczni jak gorączka tanga. Jak tango – mówi.

Mówi to specjalnie, bo wie, że lubię tango. Nauczyłam się go tańczyć jeszcze jako dziecko. W Buenos Aires, w moim dzieciństwie, wszyscy zwariowali na punkcie tej melancholijnej muzyki wypełnionej jakąś ciemną tęsknotą. Pamiętam to uczucie podniecenia i smutku, który mnie ogarniał gdy ją słuchałam. Tancerze się dotykają całym ciałem, ich ruchy są nagle, rytmiczne i nieprawdopodobnie zgrane. W niedzielne popołudnia i młodzi i starzy tańczyli na placach i ulicach, przy dźwiękach jakieś improwizowanej orkiestry lub przy muzyce z radia. Dobrze pamiętam moje spontaniczne oddanie się rytmowi, kolorom, radości ludzi dookoła mnie, specjalnie dlatego, że mi się takie coś później nigdy nie przytrafiło.

Oczywiście, na naszych uroczystościach i zabawach tańczono tango salonowe, eleganckie i mniej namiętne. W szkole, my, dziewczynki ćwiczyłyśmy kroki jedna z drugą. Mnie najbardziej fascynowała postawa zawodowych tancerek. Kobieta tańcząca tango musiała jednocześnie pokazać i dumę i uległość, być wyzywająca ale i nieosiągalna. Mężczyzna obowiązkowo musi wykonać *cabeceo*, lekki, ledwo dostrzegalny ukłon do swojej wybranki podczas gdy jej patrzy prosto w oczy. A wtedy rozpoczyna się dramatyczny taniec zdobywania i poddawania się.

Wiem że tango jest powiązane z tymi męskimi spojrzeniami na ulicy i zakazem, może dlatego, że podczas tańca ciała par tańczących przywierają do siebie tak jak by się kochali. Mając trzynaście lat o kochaniu mam bardzo mętne pojęcie, ale jednak już wiem, że moi rodzice robią to czasami, późno w nocy, gdy myślą, że śpię. Ale ja ich słyszę i wstydę się. Gdy z rana ojciec otwiera drzwi i pochyla się nade mną, aby mnie pocałować, celowo odwracam głowę. Czy on wie, że ja wiem?

Pamiętam jedną imprezę urodzinową u państwa Mihanovichów. Tańczyłam tango z nieznanym chłopakiem, nieco starszym ode mnie. Jest tyle sposobów kochania się, ale jednak, dwa dziesięciolecia później, przypominam sobie to uczucie, ciał, które się dotykają w tańcu, rytmie, który ich prowadzi. I coś nowego co mnie ogarnia, gdy szybko nadażam za krokami partnera, podczas gdy moje piersi dotykają jego, a jego udo znajduje się pomiędzy moimi nogami. Wyginam się do tyłu w figurze pełnej gracji, podczas gdy nasze nogi ślizgają się po

parkiecie. Melodia wchodzi we mnie, a ruchy powodują nieznaną dotąd typ podniecenia, niczym gorączka. W szkole, my dziewczynki, po cichu na to mówimy „gorączką tango” i wierzymy, że jest zakaźna.

Nie wiem kim jest ten chłopiec i myśl, że moje ciało trzęsie się w gorączce, pomimo tego, że go nie znam, podnieca mnie jeszcze bardziej. Przed oczami mam tylko jego błyszczące, czarne oczy i spocone czoło, które nie może wytrzeć, bo mnie nie może wypuścić z objęć. Z objęć, które są dla nas zabronione, wiemy o tym i dlatego tym bardziej we dwójkę czerpiemy z tego przyjemność.

Czy moja gorączka tango była powodem dlaczego *maman* i ja jednej nocy nagle weszliśmy na pokład statku oceanicznego. Być może. Może mnie *maman* zobaczyła jak zwinnie i z pasją tańczę z tym chłopakiem jak prawdziwa *francesa*. Może zrozumiała, że już nie ma czasu, że mnie musi wyciągnąć z tego niebezpiecznego środowiska, wysłać do szkoły francuskiej, która mnie ucywilizuje, zrobi ze mnie prawdziwą damę, uprzejmą, powściągliwą. A może i do tego sama zatęskniła za Francją na tyle, że zamknęła sklep, spakowała nasze rzeczy, wyrwała mnie ze szklanej klatki - ile tylko razy sama o tym marzyłam, ale nie w chwili gdy wchodziłyśmy na statek! - i wpakowała do kabiny na pokładzie statku.

– Dlaczego wyjeżdżamy, *maman*? Dlaczego akurat teraz, łkałam, akurat teraz gdy w końcu znalazłam towarzystwo, gdy zatańczyłam pierwsze tango? – Przestrzeliła mnie bezlitosnym wzrokiem...

Nie wiem czy może nawet i zechciała rozwieść się od ojca. Prawdopodobnie moja edukacja przydała jej się jako wymówka, aby wrócić do Francji i przynajmniej tymczasowo opuścić Marko. Nie wierzyła już w jego obietnice, nigdy nie przyzwyczaiła się do Buenos Aires.

– Ktoś z nas musi się poświęcić dla przyszłości Dory – powiedziała – Ktoś musi zdecydować. Dora już nie jest dzieckiem, musimy pomyśleć o tym co jest dobre dla niej – mówiła mu w łóżku przed snem. Ojciec był dziwnie cichy. Może mu mówiła i coś, czego ja nie mogłam usłyszeć lub szeptała mu poufnie to czego nie powinnam usłyszeć, bo jestem zbyt młoda, aby to zrozumieć. Nie wiem. Po długim milczeniu, ojciec się odezwał.

– Skąd wiesz co jest dla niej dobre? – zapytał.

– Ja jestem kobietą, Marko, ja jestem jej matką. Ja wiem to najlepiej – powiedziała Julie, a ja w jej głosie poczułam smutek.



Z całej podróży pamiętam tylko noc, błysk wody, ogromną sylwetkę statku. Pamiętam dźwięk silnika, oddalanie się brzegu i poczucie, że tracę tło pod nogami, od czego mi się kręci w głowie. Potem, powolne bujanie się kabiny, nie to usypiające, lecz to niepokojące. Podczas pierwszych dni mam chorobę morską. Śpię lub patrzę w sufit kabiny i staram się uciec do jakiejś innej, tylko mojej rzeczywistości. *Maman* mnie pociesza i mówi, że choroba minie.

– Czeka na nas Paryż, Doro, Paryż! – Jakby była mowa o przepięknym prezencie. Ja nie podzielałam jej podniecenia. Wyrwali mnie ze domu, z szkoły, z jednego z moich języków – jak mogę się cieszyć z przeprowadzki?

Czy *maman* miała rację? Czy ja jednak jestem *francesą*? Czy wszystkie kobiety mają ją w sobie? Podczas gdy płyniemy, zamknięta w kabinie męczone się pytaniami na które wtedy jeszcze nie miałam odpowiedzi.

W teraźniejszych latach i po doświadczeniu jakie mam z mężczyznami, a i z kobietami, odpowiedzi na te dawne pytania mam już zapisane na skórze. Rzeczywiście, jakbym zdjęła bluzę, może te wszystkie ukłucia i cięcia, ślady biczu i ślady uderzeń, siniaki, poparzenia, ugryzienia byłyby widoczne... Największe kopniaki jednak są niewidoczne, z wyjątkiem być może dla lekarzy specjalistów, jak dr Lacan, czyją specjalizacją są wewnętrzne blizny, szczególnie w kobiecej psychice. I choć ciało i psychika są powiązani, ja chętniej cierpiałam uderzenia człowieka, którego kochałam niż jego jeden, jedyny pogardliwy wzrok. Bo poniżenie boli dużo bardziej.

– Stój – mówię do siebie – zatrzymaj się. Dokąd tak pędzisz? Wszystko po kolei.

Dzisiaj, tej spokojnej, wrześnieowej niedzieli, przeczytałam to wszystko co do tej pory napisałam. Jestem zadowolona, że historia mojego argentyńskiego dzieciństwa płynie gładko bez zatrzymywania się. Nie czuję już ten paniczny strach pustej kartki, którego czułam kiedyś dawno temu, gdy otwierałam zeszyt. Mam nadzieje, że wytrwam, że znowu się nie poddam. Choć trochę się boje tego o czym dopiero mam napisać.

\* \* \*

Moje pierwsze doświadczenie Paryża to zapach dworca. *Maman* i ja przybyłyśmy pociągiem wcześniej rano. Ulicy były mokre od deszczu, a zapach dymu i wilgoci, i ten wyjątkowy zapach sadzy i zardzewiałego żelaza, który jakby się gromadził na każdym dworcu, doleciał do mnie od razu gdy zeszłam na peron. Prawdą jest, że Paryż był dla mnie nieznanym, ale bliskim, bo w tej samej chwili, gdy zstąpiłyśmy na chodnik, aby zatrzymać taksówkę, zanurzyłam się w języku macierzyńskim, jak w wannie napełnionej ciepłą wodą. Było to

dezorientujące uczucie. Gdy przyjedziesz do nowego środowiska i poczujesz się otoczona znanym językiem jak ciepłym płaszczem, to daje ci to poczucie bezpieczeństwa, ochrony. Paryż jakby mnie przytulił. Mój hiszpański w jednej chwili usnął, odepchnięty do jakiegoś zakątka pamięci. A z nim jakby się i topiła moja argentyńska tożsamość, i w tych pierwszych tygodniach czułam się naga pod płaszczem języka.

Nasze pierwsze lata w Paryżu Julie wydawała się zadowolona, prawie bym powiedziała, że jak nowo narodzona. Ojciec regularnie przysyłał pieniądze z Buenos Airesa, dopóki i on sam nie przeprowadził się do Paryża. Chodziłam do liceum *Molière*. *Maman* mogła trochę odsapnąć. Jej córka, proszę bardzo, uciekła od bezpośredniego zagrożenia w którym się znalazła z powodu miłości do tango i przez pewien czas wszystko wyglądało jak należy. Ja też byłam zadowolona, bo w końcu dostałam prawdziwy pokój z drewnianymi drzwiami. Z mojego życia zniknęły szklane drzwi i biała zasłonka, przegrody, które przegrodami nie były, podsłuchiwanie... Na zawsze, wierzyłam w to.

Przynajmniej raz do roku płynęłam statkiem do ojca. Podróże były długie i czasami męczące, ale bardzo mi brakowało ojca i jego ciepło i codzienne wsparcie, jego ufanie, że mogę pokonać bariery. Pisałam do niego długie listy po chorwacku i hiszpańsku i dekorowałam ich rysunkami. Nie byłam już jego małą dziewczynką – przynajmniej tak myślałam – ale moje listy w jakiś sposób jeszcze ciągle były dziecięce.

I jeszcze czegoś mi brakowało, odkąd się przeprowadziłam do Paryża - poczucia przynależności. Dziwnie, bo w Argentynie nie czułam się zakorzeniona. Tam było dużo obcych, bo dotarliśmy tam na fali jak i wiele innych emigrantów z Europy, lecz zachowywaliśmy się jakbyśmy z tego powodu byli uprzywilejowani. Bycie obcym w Paryżu nie jest przywilejem, czułam to, gdy poszłam do szkoły. Choć jestem rodzona Francuzką i języki francuski jest moim językiem macierzystym, byłam inną, dorastałam na innym kontynencie. Obok francuskiego mówiłam i po hiszpańsku, ale i jeszcze bardziej egzotycznym językiem chorwackim, podróżowałam na drugą stronę oceanu... Dzieliło nas nie tylko moje pochodzenie, ale i moje doświadczenie. Byłam bardziej dorosła od dziewczyn w klasie, które były paryżankami i znały tylko Paryż, i dlatego uważały, że z tego powodu jestem zarozumiała. Lecz mój status w nowej szkole odrobinę się zmienił na lepszy, gdy zaczęłam je uczyć tango, przeklinać po hiszpańsku i palić papierosy!

Na samym początku ta wielość tożsamości wprawiała mnie w zakłopotanie, bo była jeszcze jedną, którą musiałam dodać do tych, które już miałam. Nie potrzebowałam długo, aby zrozumieć, że tutaj, we Francji, przyjechać z dalekiej Argentyny nie było żadnym przywilejem, szczególnie jeżeli twój ojciec pochodzi z małego, nieznanego kraju. W paryskim towarzystwie

w którym się Julie i ja obracałyśmy, obcokrajowcy jednak byli ludźmi z innego środowiska towarzyskiego. *Maman*, jedyna która w naszej rodzinie nie była obcą, usilnie się starała abym ja przeskoczyła tą przepaść, ale dziwnie, czułam się prawdziwą Francuską dopiero podczas wizyt u ojca w Buenos Aires. Tam stawałam się inną osobą, żywą, gadatliwą, podczas gdy znajomym z zapalem mówiłam o francuskiej modzie czy malarstwie – tak samo jak ojciec niegdyś opowiadał o architekturze.

Nie byłam zdezorientowana tylko z powodu języka, obywatelstwa, pochodzenia, lecz i z powodu mojego wyglądu, który się zmieniał. *Maman* była kobietą o eleganckich, choć nie za bardzo zapadających w pamięci rysach twarzy, osoba, która ponad wszystko dbała o elegancję. A ja, jak dorastałam, coraz bardziej byłam podobna do ojca. Byłam wysoka i silna, miałam jego rysy twarzy. Julie widziała we mnie to coś co mnie zdradzało jako obcą, coś rozpoznawalnie innego, coś słowiańskiego. I to nie tylko w moim ciężkim charakterze i upartości, lecz i na ciele. Moje pełne harmonii, ale i mocno zbudowane ciało nie posiadało francuską grację. Czasami była ironiczna:

– Tak, twarz masz regularną jak on, ale ta wysunięta broda, która sugeruje opór, ta wyprostowana, trochę arogancka postawa... Skąd to macie? No to jest twój ojciec, wielki pan a jednak nieślubne dziecko jednej zwykłej służącej. A według waszej postawy można by powiedzieć że to hrabia, a ty królowa!

*Maman* zawsze znajdowała sposoby, aby mi dopiec z powodu ojca. Podobno jej rodzina nie została zaproszona na ślub w Rijece, żeby przypadkiem nie zobaczyli co jest wpisane w rubryczce „ojciec” na jego odpisie z księgi urodzonych. A tam było napisane, że jego ojciec jest nieznany. Rzeczywiście, on nigdy nie wspominał o swojej matce. Wiedziałam, że ma na imię Barbara i nic poza tym. A sama Julie zabroniła mi, abym go wypytywała o jego rodzinie, bo to u niego zawsze powodowało atak furii. Zawsze miałam wrażenie, że ojciec ucieka od czegoś ze swojej przeszłości i nawet *maman* nie była chętna o tym mówić. Nienawidziałam gdy Julie tak mówiła o ojcu, bo ja, tak samo jak i on, w nowym środowisku milczałam o mojej rodzinie. Nie tyle z powodu nieznanego dziadka, a raczej żeby nie musiała tłumaczyć pochodzenie nazwiska. Zdarzało mi się to samo co i niemu: Dziwne nazwisko w nowym środowisku brzmiało jak żydowskie. On się na takie pytanie obrażał, i potem w domu zły mówił:

– Czy ja jestem podobny do Żyda? – ja już wtedy – tak jak i on! - na pytanie o moim pochodzeniu broniłam się tajemniczością.

\* \* \*

Pierwsze fotografie zrobiłam mając dwanaście lub trzynaście lat, jeszcze w Buenos Aires. Szłam z ojcem do portu i fotografowałam statki, marynarzy, doki, pokłady na statkach. Zresztą, on mi podarował pierwszy aparat fotograficzny. Gdy dzisiaj patrzę na te fotografie, jestem zadowolona, że nic na nich nie wskazuje, że zrobiła ich dziewczynka. Na nimi dominuje stosunek światła i cieni, czyste połączenie i kształty, sam obiekt wyraźnie nie ma jakiegoś szczególne znaczenie. Już wtedy podświadomie rozumiałam istotę fotografii, miałam oko za te rzeczy. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek miałam niewinny wzrok dziecka. A może poczucie do fotografowania samo w sobie wyklucza niewinność, nawet i u dziecka?

Wkrótce zaczęłam na poważnie zajmować się fotografowaniem. Może dlatego, bo mi się wydawało, że mnie moi nowi znajomi z Paryża w tym wczesnym okresie zaniedbują. A jeżeli tego nie robili umyślnie, moje imię, język, zainteresowania a nawet i wygląd, to wszystko mnie jakoś izolowało od nich i powodowało uczucie nie przynależności. Byłam nowa, obca i dlatego przewrażliwiona. Nie pozostało mi nic innego, niż ponownie znaleźć jakąś kryjówkę. I znalazłam ją. Znalazłam schronienie zza zasłoną aparatu. W obserwowaniu ludzi poprzez obiektyw i może tylko dlatego, żeby na fotografii wyszła na jaw ich ukrywana twarz, widoczne tylko dla mnie.

– Możesz ją opisać? – Pamiętam jak mnie kiedyś zapytał Jacques, gdy mu o tym powiedziałam. Ale ja pominęłam odpowiedź. Co mu mogłam odpowiedzieć? Że ukrytą twarz człowieka można zobaczyć tylko na fotografii, i to tylko jeżeli uda ci się upolować ten moment w którym się odkrywa.

Nie wiem czy ojciec zrozumiał moją potrzebę, aby się chować zza fotoaparatem, ale wspierał mnie w moim wyborze, gdy po gimnazjum, pomimo sprzeciwu Julie, zapisałam się do Szkoły sztuk dekoracyjnych. Ona, jako dobra obywatelka, żywiła odrazę do cyganerii artystycznej, do której taka szkoła prowadziła. *Maman*, oczywiście, moje zainteresowanie i zajmowanie się sztuką uważała jako bilet do złego towarzystwa, pomiędzy pijaków, obiboków i podejrzanych osobników, ale pocieszała się, że taka wyprawa nie może trwać długo.

– Ty jednak pochodzisz z solidnej rodziny – przekonywała bardziej siebie niż mnie.

Nie interesowały ją moje powody i moje nierozumne zachowanie było dla niej odzwierciedleniem mojej oczywistej upartości. Myślała na moją nieugiętość, biedna Julie, potulna i posłuszna wyznawczyni społecznych form. Żyła rozpięta pomiędzy swoimi małomiasteczkowymi wartościami, majestatycznymi pomysłami ojca, które prawie nigdy nie

przynosiły spodziewane wyniki i mojej skłonności do cyganerii. Nie rozumiała nas i to ją smuciło i z tego powodu była osamotniona. Pocieszenie znajdowała jedynie w modlitwie i długich rozmowach z księdzem, pater Jeanem, z czyjego powodu szła na drugi koniec miasta.

Równolegle z szkołą uczestniczyłam w lekcjach malowania u Andréa Lothea, w tamtych latach, najlepszego nauczyciela, a potem była i szkoła fotografii. Prawie tak samo ważne były dla mnie i kafejki w których w latach trzydziestych zbierało się ciekawe towarzystwo, Henri Cartier-Bresson, Brassai i Pierre Kefer z którym wkrótce założyłam atelier fotograficzne. Żeby nie mówić o scenarzystyce i montażystyce Loiusie Chavance, który był zakochany w sztuce filmowej ale i we mnie. Byłam z nim bardzo krótko, bo już wtedy zdecydowałam, że nie chce się z nikim wiązać. Byłam asystentką fotografa mody Ossipa Meersona. Podróżowałam do Barcelony i do Londynu, interesowała mnie fotografia dziennikarska tak samo jak i modna czy artystyczna. Wtedy, gdy biegałam z moim rolleiflexem wokół szyi, bardziej mnie interesował mój aparat fotograficzny niż mężczyźni. Aparat był częścią mnie, przedłużenie mojego oka i mojej ręki. Mężczyźni byli przyjaciółmi, byli zabawni lub nudni, a spędzanie czasu z nimi to coś na kształt klubu dyskusyjnego i libacji.

Sprzęt fotograficzny wtedy jeszcze ciągle był ciężki i nie było dużo kobiet, które chciały go nosić dookoła. Ale rolleiflex którego mi kupił ojciec był malutki i wygodny do noszenia. Dziwne że go wtedy, a jeszcze byłam dzieckiem, nie musiałam długo namawiać. Wierzę że rozpoznał we mnie kreatywny ferwor jaki i sam posiadał, bo widział jak mi oczy błyszczą gdy mówię o fotografowaniu. Nigdy mi bezpośrednio nie powiedział, że oczekuje od mnie, abym miała jakiś „normalny” mieszczański zawód. Tylko raz, przerwał mi w pół zdania i delikatnie, trzymając rękę na mojej, miękkim głosem, zarezerwowanym tylko dla jego ulubienicy, powiedział:

– Ależ Dorcio moja, rysujesz wspaniale, jesteś spostrzegawcza, mogłabyś być architektem, mogłabyś robić tyle tego. Dlaczego akurat fotografia?

Odmachnęłam głową.

– Uwierz mi, bo wiem czego chce. Fotografia to moje powołanie. Dlatego że mi aparat fotograficzny daje możliwość decyzji. Nie rozumiesz, że dla mnie ważne jest być tą, która bada innych, a nią tą którą inni badają? Fotografia mi umożliwia nie tylko żeby zobaczyć rzeczywistość tak jak ja to chce, ale i pozwala mi na wykreowanie nowej. Dla mnie jest ważne, abym tworzyła, tato.

Pamiętam, siedzieliśmy tego dnia w jego ulubionej kawiarni w Buenos Aires, tej samej, którą odwiedzaliśmy, gdy we troje tam mieszkaliśmy. Ojciec zapatrzył się gdzieś w dal i

zamilkł. Już nie byłam dzieckiem, Jego Doricą zza szklanymi drzwiami, jego poranna radością. A jednak, łączyły nas podobne charaktery, może nawet i więcej niż sam fakt, że jesteśmy ojcem i córką. Teraz mi się wydaje, że mogę zrekonstruować jego myśli. I on, jako młody student w Zagrzebiu i Wiedniu był tak samo oddany swojej pracy, utalentowany, pełen energii i planów – inaczej nie dostałby te wszystkie wielkie projekty. Wiedział dokładnie czego chce, tak jak i ja, tak jak i każdy, kto w sobie nosi jakieś powołanie, któremu nie może się oprzeć.

Mój ojciec wtedy, patrząc w dal, być może widział jeszcze dalej. Wiedział, że samo życzenie i przekonanie nie wystarczą, aby osiągnąć sukces i że codzienność cię poszatkuje, jeżeli nie jesteś okrutny w stosunku do innych, jeżeli nie jesteś najważniejszy dla samego siebie. Był świadom, że kobietom jest szczególnie ciężko przetrwać w jakimkolwiek zawodzie, zwłaszcza artystkom, bez względu jak bardzo są utalentowane lub uparte. Wiedział że mam talent, ale nie wiedział czy mam wystarczająco dużo samozaparcia w realizowaniu mojej wizji i czy się zmienię gdy na drodze pojawią się mężczyzna, małżeństwo, dziecko, a to, i w to wierzył, prawie na pewno się stanie. Tak jak się i niemu stało. Tego dnia postawiłam go przed wyborem: albo mi pomoże, albo będę walczyć sama. Nie mógł mnie puścić, abym sama stanęła twarzą w twarz z trudnymi przeszkodami, które czekały na mnie po drodze.

\* \* \*

Z aparatem w ręku nareszcie czułem się dobrze. Aparat mi dawał poczucie bezpieczeństwa i przyjemności. Albo może nawet i mocy. Przyjemność w mocy, dlaczego nie? - prawdopodobnie powiedziałby Jacques. Dobrze się czułam fotografując, wybierając modele, miejsce i światło, ustawiając ich tak żebym pozyskała pożądany efekt, krzycząc polecenia. Niczym ojciec, który wykrzykiwał instrukcje pracownikom budowlanym wysoko na rusztowaniach. Ojciec tak jakby przemawiał ze mnie. Jakby prowadził moją rękę i zmuszał mnie do dyscypliny, pracy, poświęceniu i pasji, która zabrała go w świat, daleko od biednej matki i biednego kraju. Tak, dzisiaj jestem w to całkowicie pewna: do fotografii mnie przyciągnęła możliwość decydowania. Ale, jeżeli jest to prawdą, jak się stało, że wypuściłam to z rąk przy pierwszej okazji? Dlaczego się tego zrzekłam?

Musze wrócić do tego tematu, jeszcze nad tym popracować. Tymczasem pamiętam, że przy jednej okazji Jacques mi powiedział, żebym się nie martwiła, bo jeżeli jest to coś ważnego, to i tak samo wypłynie na powierzchnię.

W odróżnieniu od spędzania czasu z mężczyznami, fotografowanie traktowałam poważnie. Z aparatem w ręku nigdy się nie nudziłam. Nagrywając jakąś scenę mogłam

kreować historię. Wkrótce zaczęłam robić zdjęcia na zamówienie. Najpierw były to fotografie mody. Lubiłam tą pracę, chyba z powodu *maman*, która uwielbiała modę. I tak, zaczęłam nosić kapelusze, akurat takie jakie *maman* nie mogła sprzedać w Buenos Aires, bo były dziwne. Te udekorowane strusimi piórami i wstążeczkami z weluru i tiulu, lub małe czarne kapelusze z koronki jakie nosiły wdowy, kokietujące wdowy, oczywiście. Na fotografiach dla modnych czasopism chciałam uzyskać czyste, prawie geometryczne linie. Staralam się osiągnąć kontrast pomiędzy światłem i cieniem, pomiędzy czarnym a białym. Na tak zrobionych zdjęciach modele wyglądały srogo, zimno i elegancko. Niczym obiekty, jakoś tajemnicze i nieosiągalne. Sama chciałam taką być.

Nagie ciała także przedstawiały dla mnie wyzwanie. Naszym ulubionym modelem wtedy była Assia. Gdyby zdjęła ubranie, przedstawiała personifikację idealnego kobiecego ciała. Jej skóra była gładka niczym spokojne lustro wody i jej ciało za pomocą światła na fotografii przekształcałam w posąg z marmuru. A na ulicy byście ją nie poznali. Wyglądała zwyczajnie, jak jakakolwiek inna młoda kobieta, która się niczym nie wyróżnia.

Przed sceną, która by mnie zafascynowała, zmieniałam się w oko. Ale nie robiłam tylko eleganckie, efektowne fotografie studyjne. Tak samo mnie interesowały i reportaże. W Londynie byli to żebracy i dziwolągi, w Barcelonie ślepcy, w Paryżu dzieci, starcy, muzycy uliczny, biedacy. Wzruszałam się na widok biedy i chciałam poprzez moje fotografie, aby ona dotykała i oglądających, aby ją rzeczywiście widzieli. Nic dla mnie nie było wystarczająco trudne, żeby zrobić dobry reportaż. Raz, wydaje mi się że było to na początku lat trzydziestych, weszłam z dwójką górników na górę Grand Rousses, żeby dotrzeć do strajkujących górników. Ścieżka była bardzo stroma, a ja nie byłam całkowicie nieprzygotowana do wspinaczki i pamiętam jak upadałam, od nowa, bez przerwy. Ale nic nie mogło mnie odwrócić od celu, od mojego reportażu, od możliwości zrobienia ciekawych fotografii. I gdy tak powoli się poruszałam do przodu, prawie pełzając na czworakach, spocone ubranie kleiło mi się do skóry, mój oddech był lodowaty, nawet nie pomyślałam żeby wrócić nieskończonej roboty. Gdy nasza mała grupka w końcu dotarła na szczyt, ponurze patrzący górnicy gapili się na mnie jak na widmo. Co w tej dziczy robi kobieta? I do tego jeszcze fotografka? Na ich brudnych twarzach błyszczały tylko oczy w których, oprócz gniewu, złapałam obiektywem i kawałek ich ogromnego zaskoczenia. A może nawet i podziwu.

Dla mnie było wszystko jedno czy robię modne, reklamowe, erotyczne czy reportażowe zdjęcia. Uczucie było takie samo: gdy pracowałam byłam całkowicie oddana pracy. Wkrótce stałam się Dorą Maar. Wraz ze zmianą imienia, zmieniła się i moja tożsamość. Już nie byłam Theodorą Markovitch, milczącym dzieckiem czyje dorastanie rodzice obserwują zza zasłonki.

Nawet nie egzotyczną brunetką krótko odciętych włosów, która trzyma głowę ciut za wysoko, aby zostawiać wrażenie uwodzicielki, a z tego powodu wygląda wyniośle.

Zasłużony dla tej zmiany był przyjaciel Man Ray lub Emmanuel Radnitzky, który namówił mnie, abym zmieniła imię, jak i on sam to zrobił. W Stanach było to zwyczajne. Jego rosyjskie imię było dla nich ciężkie do wymówienia, a i chciał się zdystansować od rodziny. Na Montparnasse, w kawiarni „La Rotonde”, gdzie spotykaliśmy się codziennie, i tak opowiadali że jestem Peruwianką. Później mnie Max Jacob nazwał Etruską. Nie mogłam całkowicie uciec od mojego egzotycznego wyglądu i nazwiska, ale mogłam jeszcze bardziej uwypuklić tajemnicze pochodzenie zachowując się jak egipski sfinks. O mojej rodzinie więc milczałam, niech sobie myślą co im się żywnie chce. Bo rzeczywiście, mogłam być bile kim, jeżeli już mi nie dawali być tym, kim jestem.

Wkrótce zrozumiałam, że to ma swoje plusy. Kobieta z dalekiej ziemi stała się wyjątkowa, a jej egzotyczność sama w sobie interesująca. Może najlepiej widać to na fotografii Mana Raya na której uwiecznił mnie jako księżniczkę indiańską z pióropuszem, tajemniczych oczu, perfekcyjne zrobionych paznokci na ręce na pierwszym planie, która sugeruje uwodzicielski taniec. Ta fotografia określiła moje życie: gdy na nią popatrzył Picasso zakochał się w indiańskiej księżniczce. W modelu, a nie we mnie.

\* \* \*

Dobrze się czułam w nowej skórze jako Dora Maar, a już nie jako Theodora Markovitch, bo Dora była skrojona według moich upodobań. Wydawało mi się, że w końcu, zamiast być tym co jest mi dane narodzinami, wykreowałam siebie taką, jaką chciałam być. Byłam otoczona ludźmi, z którymi spędzałam czas i pracowałam i którzy mnie szanowali. W tamtych latach zaczęłam i zarabiać. Nie było to dużo pieniędzy, ale wtedy życie było proste. Na papierosy i czerwone wino nie było potrzebne dużo, a karczmy które odwiedzałyśmy były tanie. Wieczorami, przy stoliku w „La Rotonde” zazwyczaj tłoczyło nas się około dziesięciu. Mój najlepszy przyjaciel, bardzo zadbany Paul Éluard, jego Nusch, André Breton i moja dobra przyjaciółka a jego żona Jacqueline Lamba, potem aktorka Sylvia, Michel Leiris, bracia Prévert... Najfajniej było, gdy razem wymyślaliśmy szalone teksty i śmialiśmy się z tego. Lub kiedy rozmawialiśmy o polityce, a byliśmy zorganizowani w grupy: *Octobre*, *Masses* i *Contre-Attaque*. Polityka mnie bardzo interesowała, a dokładniej, wszystkich interesowała nas niesprawiedliwość. Niektórzy z nas byli anarchistami, niektórzy twardymi komunistami.



Razem organizowaliśmy manifestacje, podpisywaliśmy petycję. Wszędzie, gdziekolwiek byłam, we Francji i w Hiszpanii lub w Anglii widziałam zbyt dużo biedy, żebym została obojętna i nieaktywna. I tak na przykład w grupie *Octobre*, do której nas zebrał Jacques Prévert, robiliśmy przedstawienia teatralne dla klasy robotniczej.

Ciężko jest mi ocenić ile w naszych spotkaniach było ideologii, bo tak naprawdę bawiliśmy się przednio. Ale Hitler już doszedł do władzy, przeczuwaliśmy, że świat w którym żyjemy dramatycznie się zmienia. Nasza mała grupa przedstawiała ruch nadrealistyczny i propagowała ten rodzaj sztuki: Breton w swoich tekstach, Éluard w poezji, Bataille w przemysłeniach o źle. A tak naprawdę, nadrealistyczny był ten świat dookoła nas.

Byliśmy ciekawi jak dzieci i tworząc na pograniczu starego i nowego, eksperymentowaliśmy ze wszystkim, od prozy i poezji do malarstwa, rzeźbiarstwa i fotografii. Porzucaliśmy małomiasteczkowe morale z taką samą łatwością z jaką Picasso, Giacometti czy Mondrian odrzucali malarstwo i rzeźbiarstwo dziewiętnastego wieku. Zaczęliśmy wyczuwać, że wyimaginowana przemoc w sztuce, te czarne marzenia z podświadomości o których pisał Bataille, używanie języka na sposób na jaki to robi Breton, tematy o których piszę Éluard – dzieją się na jawie. Nie wymyśliliśmy nic oryginalnego, tylko za pomocą swoich wyrafinowanych zmysłów artykułowaliśmy to co czuliśmy – ducha czasu, który już zaczął rządzić. Nadrealizm, jak nasz ruch nazwał André, był jak sen, przecucie nadchodzącej ciemnej siły, która nas wkrótce wszystkich obezwładni.

\* \* \*